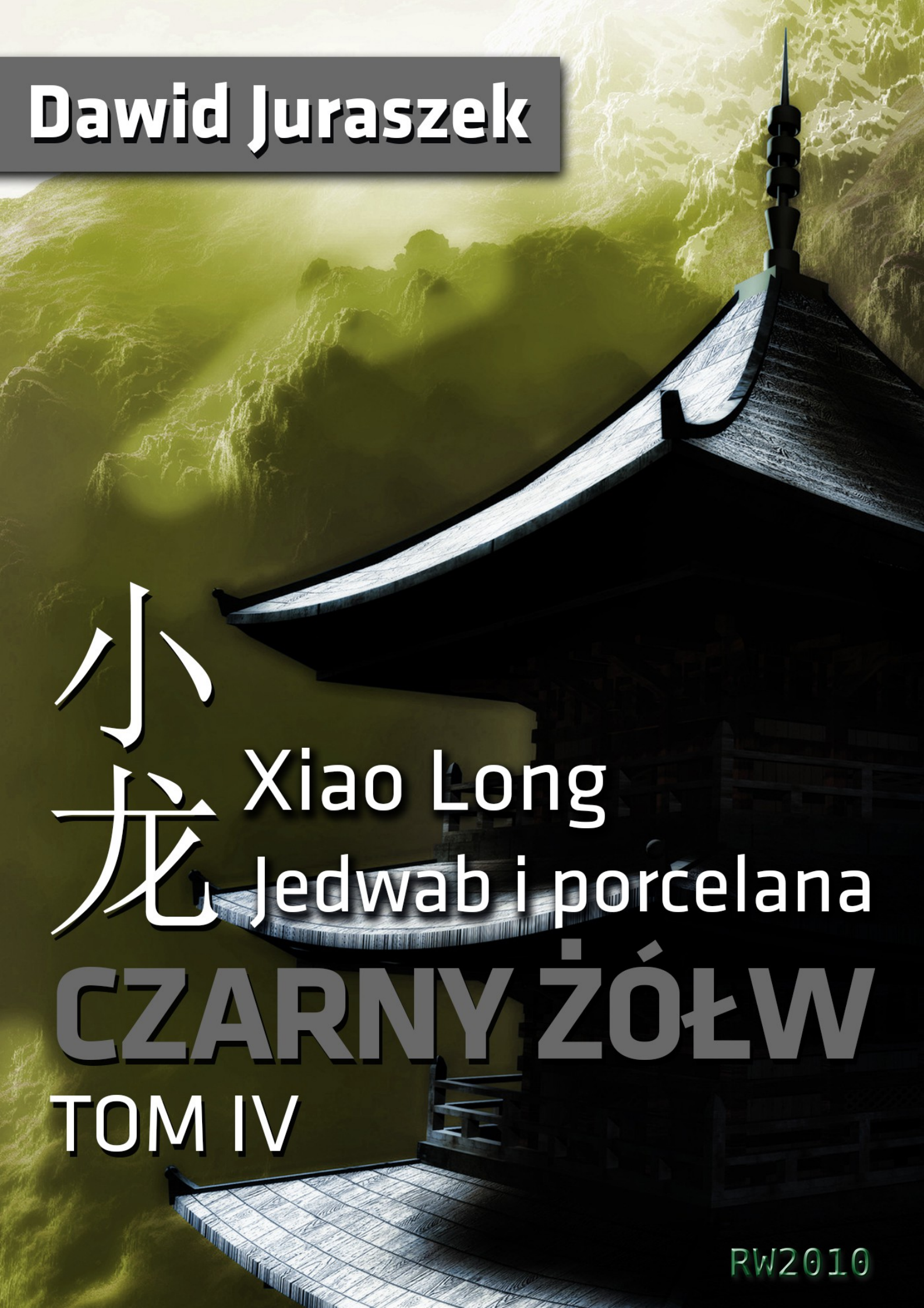




Dawid Juraszek

小龙

Xiao Long

Jedwab i porcelana

CZARNY ŻÓŁT

TOM IV

RW2010

DAWID JURASZEK
JEDWAB I PORCELANA
Tom IV
CZARNY ŻÓŁW

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2014

Redakcja i korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Dawid Juraszek 2014

Okładka Copyright © Mateo

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2014

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-028-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Oficyna wydawnicza RW2010

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

Spis treści

Rozdział I	
osadzony pośród murów, kajdan, skazańców i desek.....	5
Rozdział II	
w którym Xiao wpada na całego.....	20
Rozdział III	
o śmierci z własnej i cudzej ręki.....	30
Rozdział IV	
pełen niepewności.....	39
Rozdział V	
w którym monotonia marszu nie trwa długo.....	47
Rozdział VI	
w którym pośród krwi rozlania Xiao odzyskuje dwie rzeczy – uchwytą i nie.....	51
Rozdział VII	
dplomatyka i łowy.....	66
Rozdział VIII	
od słów do czynów.....	74
Rozdział IX	
w którym dużo się przemawia, rozmawia i przymawia.....	86
Rozdział X	
o tym, jak buntownicy starli się z armią i co poszło nie tak.....	95
Rozdział XI	
o tym, jak buntownicy dalej ścierali się z armią i jak im ostatecznie poszło.....	108
Rozdział XII	
o naprawianiu błędów.....	115
Rozdział XIII	
o skutecznianiu zemsty.....	124
Rozdział XIV	
o pozostawianiu w tyle.....	132
Rozdział XV	
o nieoczekiwanych zdradach, sojuszach i poświęceniach.....	138
Rozdział XVI	
w którym Xiao ma dość rzek – z wzajemnością.....	147
Rozdział XVII	
w którym Xiao musi, choć nie chce.....	156
Rozdział XVIII	
w którym Xiao dochodzi do domu czarownicy, a zarazem do niczego.....	161
Rozdział XIX	
od snów do czynów.....	167

Rozdział XX	
o tym, jak boleśnie trzeba uderzyć, by ujawnić prawdę.....	172
Rozdział XXI	
o tym, jak daleko trzeba podążać, by zbliżyć się do prawdy.....	179
Rozdział XXII	
o tym, jak głęboko trzeba sięgnąć, by wydobyć prawdę na światło dzienne.....	187
Rozdział XXIII	
o tym, jak daleko trzeba się cofnąć, by zrozumieć prawdę.....	193
Rozdział XXIV	
w którym Xiao stacza decydującą bitwę o spokój ducha.....	203
Słowo o transkrypcji.....	209

Rozdział I

osadzony pośród murów, kajdan, skazańców i desek.

Brama otwarła się jak gdyby sama. Luka w kamiennym murze powiększała się miarowo do wtóru zgrzytu zawiasów, łomotu serca Xiao i przekleństw cedzonych przez strażników. Nikt nie chciał stać dłużej na wzmagającym się deszczu – prócz bakałarza. Dla niego ciężkie krople i podmuchy wiatru oznaczały, że wciąż jest poza murami więzienia.

Ale już niedługo.

Powietrze wypełnił zapach stęchlizny; pociemniało. Brama stała otworem, za nią w wąłym świetle lampek widniały sylwetki strażników i nierówny okrąg zamkniętego kolejną bramą wylotu tunelu. Uścisk dłoni na ramionach bakałarza wzmógł się. Pchnięty, ruszył, gryząc wargi, w głąb więziennych wnętrzności. Powiało stęchlizną i chłodem. Gdyby nie deszcz, byłaby to ucieczka przed upałem, a tak Xiao zadrżał tylko jeszcze silniej w swym mokrym ubraniu. Zazgrzytały zawiasy drugiej bramy, tunel zalała mglista poświata. Nowy więzień zmrużył oczy i wyszedł na dziedziniec.

Na wprost miał wysoką żelazną bramę; wyżej wznosił się bastion, po którego galerii przechadzał się strażnik. Po bokach stały dwa eleganckie budynki, których fasady były częściowo przesłonięte przez ozdobne drzewka i krzewy w donicach.

Opadli go więzienni urzędnicy. Ani się obejrzał, jak zdarto zeń mokry chałat i dokładnie obszukano. Ktoś przeliczał znalezione pieniądze, ktoś zdjął mu pas i już miał go rzucić na stertę bliżej nieokreślonych przedmiotów pod murem, gdy wyczuł, że nie jest to zwykły kawałek skóry. Xiao zaklął przez zęby. Na jego oczach w wilgotnym powietrzu zajaśniała giętka klinga.

Poruszenie trwało kilka chwil. Bakałarz drżał cały z gniewu, bezsilności i zimna, ale nic nie mógł zrobić. Nieważne, sprawię sobie nowy, powtarzał w myślach. Równie dobry, a pozbawiony tego wszystkiego, co... Wtem wyższy rangą strażnik

wyrwał podwładnemu zdobycz i pełnym złości gestem nakazał odesłać więźnia. Pchnięty przez strażnika Xiao zbliżył się do bramy. Odźwierny z pałką w ręku otworzył skrzypiącą furtkę w ciężkich podwojach. Bakałarz pochylił głowę i wszedł na kolejny dziedziniec.

Więzienie tylko z zewnątrz wyglądało na imponującą warownię. Grube i wysokie mury okazały się kryć w swych objęciach obraz nędzy i rozpaczy. Bo oto:

poplamiony kwadratowy podwórzec z kamiennych płyt pokrywają błotniste kałuże

wznoszące się po bokach budynki tchną zapachem butwiejącego drewna i ludzkiej ciżby

na brudnych podestach pod wypaczonymi okapami leżą, siedzą, stoją i snują się więźniowie

niektórzy w kajdanach, inni w drewnianych dybach, jeszcze inni na pozór wolni w otwartych drzwiach jednego z budynków widać szereg skutych siedzących mężczyzn

ktoś załatwia się do kloacznego dołu w rogu dziedzińca

ktoś zawodzi z bólu czy rozpaczy

ktoś patrzy ponuro na nowego kolegę.

Jeden z kilku stojących przy bramie strażników zdjął bakałarzowi dyby i kopniakiem pchnął go przed siebie. Xiao o mało co nie upadł na twarz, ale desperackim wymachem ramion zdołał utrzymać równowagę. Paru więźniów rozrechotało się paskudnie. Bakałarz obejrzał się; strażnik już zamykał za sobą furtkę.

Gdzie pójść? Co zrobić? Xiao postąpił niepewnie naprzód, rzucił okiem w lewo, w prawo. Iść pod okap, sięść z tymi ludźmi? Przecież nie będzie stał tak w deszczu na widoku...

– Xiao Long?

Spomiędzy kucających pod ścianą ludzi powstała jakaś szczupła postać. Nie wyszła jednak spod okapu na tężejący deszcz, patrzyła tylko na bakałarza zza drewnianego filara.

Xiao wyteżył wzrok i pamięć, ale ani nie dojrzał twarzy wołającego, ani nie skojarzył jego głosu. Ale to już było coś, to już był jakiś cel. Zrobił kilka kroków w kierunku budynku i nagle rozpoznał mężczyznę.

– Ou Jia!

Po chwili stanęli twarzą w twarz i powitali się jak starzy dobrzy znajomi. Rozmawiali dotąd tylko raz, niezbyt długo, i rozstali się w niezgodzie, lecz w zaistniałych okolicznościach nawet ta przelotna znajomość dodawała obu otuchy.

– ...już kilka dni tu siedzę, nie wiem, co będzie, nikt nic nie wie – tłumaczył gorączkowo Ou Jia, ciągnąc Xiao nieco dalej pod okap, gdzie pod ścianą było dość wolnego miejsca. – Ty coś wiesz?

– A co mam wiedzieć? – westchnął bakałarz, kucając na brudnych deskach. – Jeszcze żaden urzędnik ze mną nie rozmawiał.

– Może i dobrze – jęknął młodzian – bo jak oni z kimś tu rozmawiają, to potem ten ktoś już nigdy z nikim nie porozmawia!

– Tacy srodzy? – Xiao zafrasował się.

– Żebyś wiedział! – Ou Jia ściszył głos. – Jak przesłuchują, to od razu do chłosty się biorą, i nic ich nie interesuje, tylko przyznanie się do winy. Te plamy widzisz?

Xiao spojrzał na płyty podwórca pokryte brązowymi smugami.

– Krew?

– Gdyby nie deszcze, to cały plac byłby brunatny od krwi!

– Tak biją?

– Biją, biją! Wyroków śmierci tu niby nie wykonują, skazańców do stolicy prowincji ślą na egzekucje, ale ilu nieszczęśników zdycha tu po torturach, nie zliczysz! Specjalnie to robią, żeby pognębić ludzi!

– Widziałeś?

– Nie widziałem, bo od paru dni nikogo nie przesłuchiwali, ale słyszałem od więźniów...

– E tam. – Xiao machnął ręką i wyprostował nogi, siadając wprost na zimnym podeście, czego od razu pożałował. – Taka tam gadanina...

– Przekonasz się! – burknął Ou Jia. – Ma przybyć niedługo inspekcja ze stolicy prowincji, będą wszystkich przesłuchiwać, wtedy zobaczysz!

– A skąd wiesz o tej inspekcji? – spytał szyderczo bakałarz. – Może też od więźniów?

Młodzian umilkł z wyrazem obrażonej dumy na szczupłej twarzy. Ale Xiao tylko przez chwilę cieszył się tryumfem. I co z tego, że zagiąłem narwanego młodzika? – pomyślał. Wszystko zależy od tego, jaki sędzia rządzi w jamenie. Jeśli okrutnik, to i egzekucje pod pretekstem przesłuchań były możliwe.

Nagle przypomniał sobie, za czyją sprawą tu trafił. W Luojiang znalazł go inspektor przybyły tu z Jiangcheng... Czyżby w ramach inspekcji? Jiangcheng nie było stolicą prowincji, ale w inspekcjach uczestniczyli urzędnicy z wielu miast.

Znów poczuł się nieswojo. Uciszenie trajkoczącego Ou Jia na chwilę zmniejszyło jego troskę o własne życie i dobrostan, ale strach i niepewność szybko wróciły. Wszystko układało się bardzo nie po jego myśli, i najpewniej także nie po myśli wszystkich więźniów. Nie miał zamiaru dawać młodzianowi argumentu do ręki, więc zatrzymał tę wiedzę dla siebie. Na razie należało zmienić temat. Odchrząknął i ozwał się:

– Za co tu trafiłeś?

Ou Jia milczał chwilę.

– Pech – mruknął wreszcie. – Kupowałem miecz u handlarza, ale akurat był jakiś urzędnik na targowisku; aresztowali nas obu. Handlarz siedzi teraz o, tam. – Machnął ręką w kierunku budynku, gdzie tkwili więźniowie w kajdanach. – Ponoć

handlował orężem szabrowanym z pól bitew, a teraz przy tej całej rebelii pilnują prawa jak nigdy. No i zamiast robić karierę na południowym brzegu Długiej Rzeki, siedzę w więzieniu na północnym...

– I tak miałeś szczęście – mruknął z przekąsem Xiao. – Ten miecz mógł cię kosztować życie, gdybyś porwał się z nim na nieszczęsną wyprawę, na którą mnie ciągnąłeś...

– Przestańże mi dopiekać – syknął nagle Ou Jia. – Co ty sobie myślisz? Że ci wolno? Ledwo parę lat jesteś ode mnie starszy, a wydaje ci się, żeś wszystkie rozumy pozjadał? Żeś ode mnie lepszy?

Xiao przez mgnienie zapłonął gniewem. Taką reprimendę mógłby znieść od kogoś o odpowiedniej pozycji, ale nie od takiego... takiego...

Stropił się. Rzeczywiście, w czym był lepszy od Ou Jia? W tym, że kiedyś pracował jako pisarz sądowy? Że zaliczył egzaminy bakalarskie? Może i tak – ale w więzieniu nie miało to żadnego znaczenia.

Obaj byli tu sobie równi, bo każdy z nich był tu nikim.

Ou Jia podnosił się, mruczając pod nosem przekleństwa, ale Xiao złapał go za rękaw.

– Siadaj. Przepraszam, masz rację, nie powinienem był szydzić. No siadaj, siadaj...

Młodzian nie dał się długo namawiać. Kucnął znów, nieskutecznie kryjąc wyraz zadowolenia z przeprosin, które otrzymał tak nieoczekiwanie – i tak zasłużenie.

– A ty? Co cię tu sprowadza? – zapytał.

Xiao uśmiechnął się, ale powstrzymał się od skomentowania formy pytania.

– Pech – powtórzył za rozmówcą. – Wiesz, zapamiętałem, co mówiłeś o skarbniku, którego synów uczyłeś, i pomyślałem, że...

Przerwał mu chichot. Ou Jia śmiał się cicho, ale całym sobą, dygotał, zaciskał powieki, a dłońmi przytrzymywał drżący brzuch.

– Co jest? – Xiao zmarszczył się.

– O, widzę, żeś wpadł, bracie. – Młodzian spojrzał na bakałarza, ocierając łzy. – Ja miałem szczęście, że Xu Zedong niczego nie zauważył, ale widzę, że z tobą Chryzantemowa Łodyga bardziej się afiszowała!

Ogień rozgorzał w piersiach Xiao. Więc i ten! – pomyślał wstrząśnięty. Jak nie chłopak służebny, to drugi cuchnący matczynym mlekiem gówniarz! Czym ja się tak podniecałem...?

– ...ma kobieta apetyt! – ciągnął uradowany Ou Jia. – Ale i apetyczna jest, że palce lizać! Tylko trzeba okrutnie uważać, bo chwila rozkoszy może kosztować całe życie rozpacz! Jak to się stało, co? – Szturchnął milczącego gniewnie bakałarza. – Jak was odkrył?

– Myślisz, że tylko tobie udało się ukryć przed Xu romans z jego konkubiną? – warknął Xiao.

Ou Jia zamrugnął, a po chwili uśmiechnął się krzywo.

– A więc jednak. Nie poszła ci robota, jak i mnie...

– Bynajmniej. Xu był zadowolony.

Młodzian milczał przez chwilę.

– Coś kręcisz – powiedział wreszcie, cmokając ustami. – Jeśliś dobrze pracował i dobrze się maskowałeś, to czemu wrzucili cię tutaj?

Teraz to Xiao uśmiechnął się krzywo.

– Bo do tutejszego jamenu przybył pewien urzędnik, który zna mnie jako złodzieja i mordercę strażników sądowych, a Xu Zedong zaprosił go do siebie.

Ou Jia przybladł lekko. Chwilę zbierał myśli, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Więc jesteś zbrodniarzem? – wykrztusił wreszcie, spięty, jakby gotowy do ucieczki. – Mordercą?

– Nie – prychnął Xiao. Jakoś nie chciało mu się prowadzić gry kosztem chłopaka. – Ale wystarczy, że ten urzędnik mnie za takowego uważa.

Młodzian pokiwał głową, lecz nie wyglądał na do końca przekonanego.

– Więc inspekcja naprawdę tu jest? – zmienił temat. – Czy ten urzędnik przybył tutaj...

– Nie, on nie jest z władz prowincji. – Xiao potrząsnął głową i oparł się mniej niewygodnie o twardą ścianę. – To jakiś inspektor czy sekretarz portu, miałem pecha wpaść na niego w Jiangcheng, długo by mówić, w każdym razie jest przekonany, że handlowałem skradzioną tratwą i zabiłem strażników podczas ucieczki. To wystarczy, żeby mnie tu wsadzić i już nie wypuścić żywego. A inspekcja...? Zobaczmy.

Zamilkł, ponury. Ou Jia także zatonął w niewesołych myślach. Deszcz szumiał, wieczór nadciągał, strażnicy pod bramą pochowali się do stróżówki, gdzie spod okapu baczyli na więźniów. Ci jednak nie przejawiali najmniejszej ochoty do rozruchów czy ucieczki.

Wtem furtka się uchyliła, a na dziedziniec jeden po drugim zaczęli przełazić kolejni więźniowie. W rękach trzymali tabliczki na kijach, głoszące wszem i wobec ich przewiny.

– Wraca! – rzucił Ou Jia i podniósł się.

– Kto? – spytał Xiao, niemrawo wracając do rzeczywistości.

– He Liwei!

– Kto?

– Zaraz go poznasz.

Więźniowie oddali strażnikom tabliczki i ruszyli poprzez deszcz ku budynkom. Nie śpieszyli się – przemoczonym do suchej nitki niestrasznych kilka kropel więcej. Jeden ze skazańców, dotarłszy pod okap, rozejrzał się, a na widok Ou Jia podążył w jego stronę.

– Tuś zawędrował! – zawołał, kiedy zbliżył się na kilkanaście kroków. – A to kto? Jakiś twój przyjaciel?

– Znajomy – sprostował młodzian i wyszedł mężczyźnie na spotkanie.

Xiao przyjrzał się serdecznie witającemu kaligrafa He Liweiowi. Był to człowiek w średnim wieku, takiegoż wzrostu i budowy ciała. Twarz miał jednak wyniszczoną i zapadniętą, a oczy wesoło, lecz niezdrowo błyszczące. Wizerunku dopełniała poplamiona i obdarta chałacina.

– To Xiao Long, bakałarz i nauczyciel, którego poznałem niedawno w mieście. A to He Liwei, wędrowny opowiadacz, którego poznałem już tutaj.

Przywitali się. Z bliska twarz He Liweia wyglądała jeszcze gorzej, ale w jego oczach i ruchach była jakaś energia, żywość – a może nerwowość?

– Co cię tu sprowadza? – zagaił He Liwei, kucając obok Xiao. W jego ustach nieprzystający do sytuacji zwrot brzmiał celowo ironicznie, wręcz z premedytacją zabawnie. – Jakiś stary grzech?

– Raczej stary pech – wyjaśnił Xiao, nadaremno próbując umościć się pod ścianą. – Trafiłem przypadkiem na urzędnika, który ma mnie za zbrodniarza, i oto jestem.

– Stary pech, powiadasz... – He Liwei spojrzał na bakałarza z dziwną przenikliwością. – To już wcześniej miewałeś takie nieszczęśliwe przypadki?

Xiao odwzajemnił spojrzenie. Z jakiegoś nieokreślonego powodu nie spodobał mu się ten człowiek. Nie dał jednak nic po sobie poznać.

– Raz bywało lepiej, raz gorzej. A ty od jak dawna tu bawisz? – spytał beznamiętnie.

He Liwei uśmiechnął się.

– Będzie czwarty tydzień. Nie dałem paru łazęgom wchodzić mi w słowo, gdy snułem gawędę na ulicy, zrobiło się trochę zamieszania, przybiegli strażnicy, to i siedzę tu teraz. Za parę dni powinni mnie puścić, ale swoje muszę odrobić. O, tam – wskazał kciukiem za siebie, ku stróżówce – jest tabliczka hańby z napisem „Winny pijaństwa, pobicia i zniewagi”. Oprawdają mnie z nią codziennie po całym mieście, już chyba każdy wie, że lepiej na moje opowieści nie chadzać. Trzeba się będzie przenieść, ale nie ma dokąd.

– Do Jiangcheng? – podsunął Xiao.

He Liwei skrzywił się, jakby zgryzł imbir gotowany z ostrą papryką.

– Byłem tam. Bardziej skąpego miasta w całej prowincji nie masz. Trzeba mi dalej na wschód albo zachód iść, bo od miesiący na południu się kręcę, a teraz od tygodni nad Długą Rzeką kamieniem siedzę i szaty mi już dokumentnie rybstwem przesiąkły.

– A skąd przybyłeś nad Długą Rzekę? – spytał Xiao, który stwierdził, że woli słuchać He Liweia niż Ou Jia albo własnych myśli.

– O, to jest dobra historia! – zapalił się młodzian, jakby zdążył już być poznać życiorys opowiadacza.

Ten spojrzał nań z ukosa.

– Każda historia – zaczął dziwnie poważnym tonem – może być dobra albo zła, zależy, jak się ją opowie.

– To opowiedz dobrze! Przecież potrafisz! – zachęcał niezrażony Ou Jia.

– Nastroju nie mam, kiszki mi kocią muzykę grają, w kościach łupie od niepogody, a ty chcesz, żebym dobrze opowiadał? – He Liwei zaśmiał się.

– Tak! – Młodzian gorliwie pokiwał głową, patrząc z uwielbieniem na mężczyznę.

A niech to, pomyślał zniesmaczony Xiao. Przymawia się do tego obdartusa jak do Niebo-wie-kogo!

– Opowiem, jak mi wyjdzie – uciął surowo He Liwei, choć przez twarz przemknął mu wyraz zadowolenia. – No, nie przerywaj już! – Teraz ponownie zwrócił się do Xiao: – Pytasz, skąd przybyłem nad Długą Rzekę? Podróż była długa, ale odpowiedź będzie krótka: z Północnej Stolicy. Nie pytaj, co tam robiłem, bo z mojej profesji łąco się tego domyślić możesz. Nie będę cię nudził opowieściami o mych sukcesach...

– Nudź! Nudź! – wciął się Ou Jia. Xiao z trudem powstrzymał się od wywrócenia oczyma.

– Mówilem, nie przerywaj! – He Liwei skrzywił się. – Przejdę od razu do przyczyny, dla której musiałem z Północnej stolicy ujść, i to byle dalej. Otóż opowiadałem raz piękną historię o miłości skrzywdzonego ducha do pięknej, lecz nieszczęśliwej córki dostojnika, gdy jacyś pijani obwiesie zaczęli się awanturować, wątek mi pruć i ludzi straszyć. Buzowało mi akurat trochę w czubie, a że wtedy nie tylko odwagę mam, ale i znakomicie mi się myśli, jałem improwizować na nich najelokwentniejsze przekleństwa i wyzwiska. Niestety niektóre słowa dotarły do zalakowanych trunkiem czerepów i zrobiło się gorąco. Bójka nie rozgorzała jeszcze na dobre, gdy jak spod ziemi wyrosły zastępy miejskich strażników. Zasnąłem syty wrażeń już w więzieniu. Jak widzisz – wykonał nieokreślony ruch ręką – niczego się od tamtej pory nie nauczyłem. Lecz co tam widziałem! – Zamknął oczy jak gdyby z lubością. – Cóż za więzienia mają w Północnej Stolicy! Widzisz to tutaj? Całe, gdyby je przenieść do Północnej Stolicy, byłoby najmniejszą i najnędnieszczą dzielnicą najmniejszego z tamtejszych więzień! Tam są istne miasteczka! W dzielnicy dla drobnych przestępców ruch panuje taki jak tu za murami! Krawiectwo kwitnie, podobnie szewstwo i kaletnictwo, jedni grządki warzywne uprawiają, inni łóżka odwiedzającym wynajmują, nawet targ tam mają, gdzie kupują surowce i towary od kupców, którzy specjalnie do nich zajeżdżają, i gdzie sprzedają swe wyroby! Gdybyś nie wiedział, żeś w więzieniu, to byś się nie poznał. Za to w drugiej dzielnicy – zmarszczył brwi – siedzą średni przestępcy, złodzieje i zabójcy. Oni już targu nie mają, kręcą się tylko bez celu i czekają, aż jakaś pocziwa dusza stawę im przyniesie. Jak nie przyniesie, to czezną z głodu i chorób. Najgorzej z nich mają dłużnicy. Nieważne, czy ktoś wyludził pieniądze, czy nie udało mu się zwrócić pożyczki na aptekę lub sklep, czy też mu się nie powiodło, zwyczajnie, jak to w życiu. Tak czy owak, trafia do więzienia, póki nie zwróci długu. Regularnie pamięć odświeżają mu kije. Jak kto ma szczęście, to

krewni za niego wyłożą, jak nie, to na szyciu butów raczej nie zarobi. I tak go chłoscza, aż zachłoscza, a dług i tak przepada. W dzielnicy trzeciej, najgorszej ze wszystkich, trzymani są skazani na śmierć! Siedzą cały dzień w kajdanach i czekają, aż przyjdzie urzędnik i zdecyduje, na kogo pora. My też tu takich mamy, o, tam patrz. – Wskazał na drugi budynek. – Siedzą w dybach i srają pod siebie. To buntownicy, schwytali ich gdzieś żołnierze i co do jednego wyłapali. Pono więcej tu takich, co by i dziwne nie było, bo pośród wzgórz i jezior na północy aż od nich rojno. Ci tu jeść chociaż dostają, bo im z urzędu należy się miarka ryżu, ale często jeść nie chcą, bo wolą z głodu umrzeć, niż dać się okrutnie zabić.

Przerwał na dłuższą chwilę, wodząc wzrokiem po słuchaczach. Do Ou Jia i Xiao dołączyło kilku więźniów trawiących czas nieopodal. Wszyscy nadstawiali teraz ucha. Tylko Xiao, choć słuchał z zainteresowaniem, miał wrażenie, że He Liwei nie jest jednak opowiadaczem najwyższych lotów. Najlepsze lata musiał już mieć za sobą, chwilami mówił też za szybko i nieco niewyraźnie. Lepszy jednak taki bajarz niż żaden.

– Trafiłem do pierwszej dzielnicy – ciągnął mężczyzna. – Do szycia butów smykałki nie miałem nigdy, od samego patrzenia na robotę w polu strzyka mi w plecach, szczerze zresztą rzekłszy, robić mi się nijak nie chciało. Zacząłem więc gawędzić za miedziaka albo parę ziaren ryżu. I tak byłem w stanie wybajać sobie dość, by wieczorem kupować u ulicznego kucharczyny miskę ciepłej strawy.

Znów przerwał, ale tym razem na krótko.

– Jak już rzekłem, moja przewina do poważnych zbrodni nie należała, więc byłbym sobie powolutku dotrwał do końca wyroku, gdyby nie deszcz. Tak, deszcz! Na północy głównie wieje pylisty wiatr, ale jak już pada deszcz, to tak ciężki, że nieledwie dachówki przebija. Więc nadeszła ulewa. Padało dzień, drugi, wreszcie przestało. Nikt nie wiedział, że kanał, co płynął za drugą dzielnicą, jął podmywać mur. A nadchodziła pora inspekcji więzień i prowadzenia przesłuchań. Więźniów z pierwszej

dzielnicy przesłuchiwać srogo nie trzeba, bo to płotki. Więźniów z trzeciej dzielnicy przesłuchiwać srogo też nie trzeba, bo już się przyznali, wyrok śmierci otrzymali i teraz to najwyżej można im karę odpuścić. Ale srogo przesłuchiwać trzeba więźniów z drugiej dzielnicy, bo a nuż się pokaże, że złodziej jest bandytą, a zabójca mordercą? Więc zaczęli przesłuchiwać. Podówczas Północna Stolica miała nowego inspektora, który chciał się wykazać. No więc przepytawali tak, że krew sikała, a wrzask bił pod niebo. Gdy strażnicy pierwszych ledwo dychających nieszczęśników przywlekli z powrotem do dzielnicy i o następnych jęli się upominać, co padło na więźniów? Trwoga padła! Jak się nie zaczęła miotać, jak nie zaczęła bić łbami o ściany, rzucać się na mury i siebie nawzajem. My to wszystko w pierwszej dzielnicy słyszeliśmy zza muru. Wtem przywieźli drugą partię przesłuchiwaną i upomnieli się o trzecią! Aż się natenczas więzienie zatrzęsło! Krzyk łeb urywał! Nie przesadzę, jeśli powiem, że tynk na murach pękał i cegła wylaziła. A kto powie, że łzę, bo od samego krzyku mury zatrzęść się nie mogą, to odpowiem, że istotnie od samego krzyku mury nie mogą się zatrzęść, ale nie łzę, bo się zatrzęsły akurat wtedy, kiedy krzyczeli najgłośniej. A czemu? Bo jak w panice na mur się rzucili, to pędem swoim go obalili! – He Liwei gwałtownie pochylił się do przodu, co wszakże wobec jego kucznej postawy i braku większego audytorium nie miało wystarczająco mocnej wymowy. – Jak nie rozlegnie się rumor, plusk, ryk! Podmyty mur runął do rzeki, i nie tylko ten w drugiej dzielnicy, ale również ten w pierwszej, bo jeden ciąg tworzyły. Tumult się podniósł, wrzawa, ja w tym zamieszaniu pędem się puściłem ku wolności, bom szansę ujrzał na ucieczkę... – Pokręcił głową. – Głupio uczyniłem. Anim się obejrzał, jak zapadłem w jakieś podejrżane dzielnice. Niby byłem tam bezpieczny, alem już wiedział i wyrzucał sobie, że niepotrzebnie uciekłem, skoro jeszcze tylko parę dni wyroku mi zostało. Chciałem nawet wrócić, ale wtedy na ulicach zaroilo się od strażników i wiedziałem, że się nie przedrę. Szczęściem nie wyróżnili mi na policzkach znaków hańby, więc mogłem udawać uczciwego obywatela. Ale jak długo? Byłem dość znany, ktoś

mógłby mnie zdradzić. Pomiarkowałem więc, że nie ma już dla mnie miejsca w Północnej Stolicy. Zdążyłem przejść bramę, zanim ją zamknęli. I od tamtej pory jestem w drodze, byle dalej od Północnej Stolicy; opowiadam, co mi ślina na język przyniesie, i z tego żyję.

Umilkł. Zapanowała cisza, zakłócana tylko szumem deszczu. Ale He Liwei chyba ciszy nie lubił, bo odezwał się znowu.

– I tak się kończy ta opowieść. Może nie była pełna humoru, bitew ani miłości, ale opowiadacz zasługuje chyba na garstkę ryżu czy kawałek placka?

Zawiesił głos i rozejrzał się po słuchaczach. Teraz jednak żadna ręka się nie wyciągała, jak wcześniej nadstawiały się uszy. Więźniowie, którzy jeszcze przed chwilą przysłuchiwali się gawędzie, teraz udawali zajętych, a ktoś nawet burknął coś o nieudacznym nudziarzu. Tylko Ou Jia wcisnął mu do ręki pół pszennej buły, za co obdarowany podziękował opuszczeniem powiek.

– No i tak to bywa. – Pokiwał po chwili głową, jak gdyby brak większego odzewu w ogóle go nie zaskoczył. – No nic, trzeba będzie poczekać do rana, jak dobrzy ludzie przyniosą więźniom stawę. Oby była podła, bo inaczej strażnicy nie oddadzą nam ani okruszka. Za to wina nawet najgorszego nie przyniesie nikt! Co za pieskie życie... – z tymi słowy wpakował sobie do ust bułę i połknął, ledwo co przeżuwszy.

Xiao nagle uświadomił sobie, że nie dostanie kolacji. Od pewnego czasu czuł narastającą czczość w żołądku, ale obiad zjadł dość suto, a do pory kolejnego posiłku pozostawało trochę czasu. To jednak nie było domostwo skarbnika, tylko więzienie, gdzie zwykły przestępca musiał polegać na rodzinie, znajomych lub dobrej woli nieznajomych, żeby nie umrzeć z głodu.

– A potem zdziwienie – ciągnął swą myśl He Liwei, otarłszy usta – że nieszczęśnicy muszą posuwać się do jedzenia trupów, by przeżyć jeszcze jeden podły dzień!

Bakałarz się wzdrygnął.

– Trupów? – powtórzył, patrząc na He Liweia z niedowierzaniem.

– A tak. – Zapytany pokiwał głową z pełnym przekonaniem. – Spójrz tam. – Wskazał ciemną plamę wejścia do budynku obok kloaki. – Tam na trzy dni trafiają ciała tych, co zmarli tu z bicia, głodu albo z powodu chorób. Nie zdziw się, jeśli jutro, albo jeszcze dziś, usłyszysz stamtąd krzyki. To nie będzie oznaczało, że jakiś trup powstał z martwych, lecz że strażnicy złapali oszalałego z nędzy więźnia, który zębami rwał ciała zmarłych. Gdy ktoś nie ma rodziny, nikt mu jedzenia nie przynosi, a strażnicy nie pozwalają mu wyjść pozebrać na ulicy, bo nie chce im się go eskortować, to i posuwa się do takich rzeczy...

– Nie dziwię się – przerwał Xiao, któremu głód przeszedł jak ręką odjął. He Liwei przez chwilę patrzył na niego z uśmiechem, a potem wstał z kucek.

– Chodźmy. Zaraz będą spędzać do cel, a nie chcemy dostać najgorszych miejsc.

*

Podłoga była zimna, mokra i szorstka, łańcuch ciężki, a kajdany wrzynały się w ciało. Xiao jęknął jednak dopiero, gdy strażnicy zaczęli znosić deski, a potem układać je jedną po drugiej nad niszą, w której leżeli więźniowie. Niebawem brudny, drzazgowaty kloc wylądował tuż nad nosem bakałarza, odcinając go od świata zewnętrznego. Kiedy wszyscy więźniowie i wszystkie deski trafiły już na swoje miejsca, strażnicy zaczęli regularny obchód po trzeszczącej i skrzypiącej podłodze, która dla Xiao i innych więźniów była sufitem.

– Dobranoc – szepnął nieopodal He Liwei. Ou Jia odpowiedział mu również szeptem.

Xiao milczał. Wyobrażał sobie, że jest w swej klitce pod dachem Xu Zedonga.

I że w środku nocy odwiedza go Chryzantemowa Łodyga.

Jak minęła noc i co przyniósł dzień – o tym już za moment.

Rozdział II

w którym Xiao wpada na całego.

– Żyjesz?

Xiao wydał z siebie tylko nieartykułowany jęk. Przed chwilą wykuśtykał z budynku więziennego i usiadł pod ścianą. Na więcej nie było go stać.

Gorszej nocy chyba dotąd nie przeżył. Straszliwej niewygodzie towarzyszył bezprzerwany hałas regularnych obchodów. Próba usunięcia tej pierwszej spowodowała nieuchronny odwet w postaci wzmożenia tego drugiego: czujni strażnicy tupali z całych sił po deskach tuż nad głową wiercącego się więźnia. Po jednej interwencji wyjątkowo ciężkiego strażnika Xiao uznał, że wygoda pośladków nie jest warta zmiżdżenia nosa i na całą noc zmienił się w nieczułą kłodę, marząc tylko usilnie, by kiedyś wreszcie móc rozprostować kości. Teraz jednak, gdy wraz ze świtem więźniowie zostali rozkuci, potrafił tylko dowlec się z pomocą He Liweia i Ou Jia pod okap i znów znieruchomieć.

– Pierwsze pandy za bandy – rzekł pocieszająco opowiadacz, klepiąc go po zeszywniałym ramieniu. – Najgorsza noc za tobą. Następna już będzie łżejsza, a po trzeciej wstaniesz rześki jak, nie przymierzając, ja!

To rzekłszy, He Liwei okręcił się niczym tancerka i pomknął, śmiejąc się, nad kloaczny dół.

– Skombinuję coś do jedzenia – mruknął Ou Jia i odszedł ku bramie.

Xiao z trudem wyprostował zdrętwiały kark. Większość więźniów kręciła się między kloaką a bramą, jakby na coś czekając. Od furtki oddzielała ich grupa strażników. Strawa? – pomyślał niemrawo Xiao. W tej chwili odzwierny otworzył furtkę, a na dziedziniec weszła jakaś kobieta. Któryś z więźniów zawołał i usiłował się zbliżyć, ale strażnicy mu na to nie pozwolili. Kobieta podała im worek i w tej chwili została odciągnięta z powrotem za furtkę. Strażnicy zajrzeli do sakwy i ze śmiechem zaczęli coś wyjmować. Więzień klął i złorzeczył, ale nie reagowali, wyciągając dalej

i zajądając zawartość worka. Kiedy ten zwiotczał, rzucili pustą szmatę mężczyźnie i machnęli na odźwiernego. Sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie. Raz jakiś zdesperowany mężczyzna rzucił się na strażników wyżerających mu strawę przyniesioną przez syna, ale skończył na ziemi, brutalnie skopany.

Xiao, którego po nieprzespanej nocy morzył sen, miał już zamknąć oczy, gdy kolejna osoba wydała mu się znajoma. Wyteżył wzrok i zamrugał – ku swemu zdumieniu ujrzał Jiang.

Czy ona przyszła do mnie? – pomyślał z niedowierzaniem. Tymczasem Jiang rozglądała się po więźniach, wyraźnie kogoś wypatrując. Wtem zagadał do niej Ou Jia. Strażnicy przechwycili worek, ale ledwo zajrzeli do środka, rzucili go młodzianowi. Ten porwał zdobycz i nie odwracając się do Jiang, ruszył szybkim krokiem pod okap, po drodze prawie wsadzając głowę do worka. Dotarł do celu równocześnie z zadowolonym He Liweiem.

– Przyszła do ciebie – mruknął Ou Jia do bakałarza. – Powiedziałem, że leżysz obolały. – Jeszcze bardziej ściszył głos: – Placki z siekanym mięsem! Jedzcie, zanim strażnicy się zorientują, że spleśniały ryż na górze był tylko dla niepoznaki!

He Liwei rzucił się na jedzenie jak opętany. Xiao próbował dotrzymać obu tempa, ale obolałym i odrętwiałym mięśniom brakowało szybkości. Wkrótce było po plackach. Bakałarz zagryzł zęby. Ledwo powstrzymał się, by nie obsypać samolubnych obżartuchów wyzwiskami. Nie omieszkałby się podzielić z Ou Jia i He Liweiem, a oni właśnie ordynarnie go obzarli! Jak na urągowisko obudzony brzuch burczał się na dobre w chwili, gdy ostatni placek zniknął w oślinionych wargach opowiadacza. Xiao mełł w ustach jedyny pozostały mu po dwóch plackach kęs, suto doprawiony przekleństwami, licząc, że urośnie, i kipiał gniewem.

Ale co mógł zrobić? Jeszcze tego brakowało, by ich do siebie zraził. Przypominał sobie chwilę, kiedy stał na więziennym dziedzińcu, patrząc na całkowicie obcą i w najlepszym razie obojętną, a w najgorszym wrogą zbieraninę – i kolejną, kiedy

rozpoznał Ou Jia. Muszę z nimi jeszcze wytrzymać, myślał. Inaczej zginę. Choć niekoniecznie z głodu.

Uspokoił się jednak dopiero, gdy obiecał sobie solennie, że nazajutrz rano pierwszy podbiegnie do bramy i odbierze stawę od Jiang. Hmm, Jiang... Dlaczego przyszła? Sama z siebie? Może wysłała ją Chryzantemowa Łodyga? A może żal jej się zrobiło pechowca? Lubiała mnie dziewczyna, pomyślał Xiao, przypominając sobie, jak służka się doń odnosiła. Tylko, u lisa, za co?

– No to pojadłem. – He Liwei poklepał się po brzuchu. – Nie będę na pusty żołądek po mieście z tabliczką dreptał. Zaraz będą mnie wołać...

Xiao przełknął wspomnienie placka i krzywiąc się całym sobą, wstał. Mięśnie rwały, w kościach łamało, ale musiał się wysilić, by sobie ulżyć. Utykając, ruszył w kierunku kloaki.

Poprzedniego dnia wystarczyło, że stanął nad dołem, nawet nie nadto blisko. Teraz jednak będzie musiał kucnąć. W różnych miejscach już się załatwiał, ale z tak wstrętnego dołu kloacznego dotąd korzystać nie musiał. Widział jednak, co się stało ostatniego wieczora, gdy jeden z więźniów jał po kryjomu podlewać stojący na uboczu filar. Bystrooki strażnik podbiegł i jednym uderzeniem pałki rozciągnął leniucha na ziemi. Porządek musiał być.

Najważniejsze nie wpaść, powtarzał sobie Xiao, zbliżając się do dołu. Powietrze niemal namacalnie gęstniało w otoczeniu długiego na kilkanaście i szerokiego na kilka kroków rowu, w którym dorosły mężczyzna skryłby się z głową. Wszelkiej maści nieczystości i najróżniejsze śmieci zdawały się kłębić w zagłębieniu od rozpierających je wyziewów, pożerającego robactwa i przenikającej deszczówki.

Czy oni tego nigdy nie wybierają? – pomyślał Xiao i podszedł prawie nad samą krawędź. Kilka razy machnął ręką, odganiając muchy. Szkoda czasu, pomyślał jednak, marszcząc nos. Odwrócił się, podkasał chałat, spuścił spodnie i przykucnął.

Muchy jak na dany sygnał opadły go całą rozbryczaną chmarą. Potrząsał głową, próbując się ich pozbyć; ręce miał zajęte podtrzymywaniem chałatu. Zresztą bałby się nimi machać – gdyby stracił równowagę...

Wtem zaskrzypiała furtka. Na dziedziniec weszło kilku umorusanych mężczyzn z wiadrami i łopatami. Nikt ich nie przytrzymał, nikt nie kopał – z miejsca ruszyli ku kloace. O! Chyba muszę kończyć, pomyślał Xiao. Więc jednak wybierają nawóz, choć chyba za rzadko. Wstawszy, wciągnął spodnie, wygładził chałat i już miał odchodzić, wymijając po drodze grupę gnojarzy, gdy wtem uderzony w pierś podskoczył, a potem padł na plecy. Świat zawirował mu przed oczyma, ciało przebiegła fala wstrząsu. Nie miał czasu się przestraszyć ani przygotować na twarde lądowanie... Na to drugie nie musiał. Było miękkie.

Ohydnie miękkie.

Zerwał się z krzykiem jak opętany, a raczej próbował zerwać, ale obrzydliwa breja wypełniająca dół trzymała go pod kolana, a ręce zapadały się po łokcie. Dopiero co zjedzone placki podeszły mu do gardła. Pomiedzy jedną a drugą torsją dusił się, nie mogąc wciągnąć w płuca przesiąkniętego niewyobrażalnym smrodem powietrza. Każdy oddech prowokował kolejne wymioty, choć żołądek był już pusty, jak gdyby Xiao od tygodnia nie miał w ustach nawet śliny. Zgięty w pół, patrzył łzawiącymi oczyma w ludzkie łajno, w którym grzęznął, i czuł, że zaraz wyrzyga sobie żołądek.

– Ten na nic chyba – dobiegł z góry pomruk.

Xiao ledwo go zarejestrował, walcząc z wymiotami. Najgorsze skurcze wreszcie minęły, ale mdłość pozostała, a każdy rzut okiem na otoczenie wywoływał nudności. Wyprostował się z trudem i zaczął wymacywać rękami krawędź dołu. Złapał, raz i drugi próbował się podźwignąć, ale na darmo. Znad krawędzi poleciały nań miękkie, podatne grudy. Znów zgiął się w pół, targnięty torsjami.

– Czekał – odezwał się ktoś inny. – Ja z nim pogadam. Hej ty!

Bakałarz nie zareagował, zajęty sobą i swym wywracającym się na nice żołądkiem. Kiedy jednak oberwał czymś twardym w głowę, musiał ją podnieść

– Nie rzucaj się tak! – mówił wysoki dryblas. – Jeszcze nam podziękujesz, że w ten sposób wszystkie duchy od ciebie uciekną na sto li! Wyciągniemy cię, ale musisz trochę popracować. Masz tu kubełek – wskazał na drewniane naczynie dopiero co zapadłe w breję – i zbieraj, jak najszybciej możesz, to niedługo wyjdiesz. Tylko czyste, bez szmat i takich tam! A jak nie – spuścił na linie wiadro, przed którym Xiao ledwo się uchylił – to poszukamy kogoś innego do tej roboty, ale jego wyciągniemy, a ty będziesz musiał gramolić się sam. To jak będzie?

Xiao chciał złapać go za kostki i ściągnąć w dół albo chlusnąć gównem w twarz. I może byłby tak w desperacji zrobił, gdyby nie to, że tamten stał za wysoko, a on tkwił zbyt głęboko. Bez słowa złapał kubełek i z furją jął napełniać wiadro. Nie zważał na krzyki i śmiechy zbieraczy łajna, którzy nie nastarczali spuszczać i wyciągać wiader, tylko ładował łajno, którego smród wyciskał mu z oczu gorzkie łzy, a z ust lepka ślinę. Niebawem zaczęło mu się dwoić w oczach, serce waliło jak młot, oddech stał się szybki i płytki. Napełniał jednak wiadra, póki nie zaczął się chwiać. Kubełek wypadł mu z dłoni, w głowie zawirowało. Ledwo zdążył oprzeć się o ścianę.

– Dość, ma dość! – rozległy się głosy. – Dawać kogoś innego!

Niebawem obok Xiao w dole wylądował jakiś inny więzień. Klął i krzyczał, ale i on musiał się wreszcie poddać. Wkrótce ładował nawóz z większym jeszcze zapachem niż przed chwilą Xiao. A ten stał oparty o ścianę i czekał. Nie czuł już smrodu ani wstrętu, tylko ogromne zmęczenie. Czas zdawał się zaginać w tej pełnej nieczystości grocie. Nie pamiętał już, co myślał, kiedy rankiem był rozkuwany, kiedy siadał obolały pod ścianą, kiedy wgryzał się w placki. To wszystko stało się nagle odległe i blade. A on siedział teraz zagłębiany do pół łydki w ludzkich odchodach i ledwo zachowywał dość świadomości, by nie upaść i nie utonąć.

Wtem, zupełnie nieoczekiwanie, coś chwyciło go za ramiona. Jego nogi z siorbnięciem opuściły breję i stanęły drżące na kamiennych płytach dziedzińca.

– Ustoisz? No. Tylko uważaj, żeby znów nie wpaść!

Zbieracze odeszli, śmiejąc się, z wiadrami pełnymi cennego nawozu. Xiao stał jeszcze chwilę, a potem zaczął sunąć krok za krokiem, sam nie wiedział gdzie, byle tylko dalej od kloaki.

W jego polu widzenia pojawił się He Liwei.

– Tędy – mruknął, wskazując Xiao drogę pod mur, ale go nie dotykając. – Rozbierz się i rzuć ubranie w dół, wyszukam ci coś czystsze.

Bakalarz skinął posłusznie głową i wszedł w osłonięty kąt muru. Na samodzielne myślenie nie było go stać. Czuł jeszcze w płucach zgęstniałe wapory, a na ciele zasychającą maź, ale nie myślał o nich. Wolał nie myśleć. Bał się kolejnych torsji.

Opowiadacz odszedł, a Xiao zaczął się rozbierać. Na ziemię leciały po kolei chałat, koszula, buty, spodnie... Był już prawie nagi, gdy obląła go fala płynnego zimna. Wstrząsnął się i zadrżał, ale poczuł się lepiej.

– Wytrzymaj się tym – mruknął He Liwei, podając mu nierozpoznawalny kłęb szmat. Xiao wypełnił polecenie i po chwili znów drżał z rozkoszy pod chlustami wody.

– Więcej nie ma – ogłosił ku jego rozczarowaniu opowiadacz, odkładając wiadro. – Na smród nic nie poradzimy, musi sam wywietrzeć. Masz tu odzienie – podał mu kolejny, większy kłęb – a potem siądź sobie gdzieś z boku.

Deszcz... gdzie deszcz, kiedy go trzeba... – myślał Xiao, niemrawo mnąc kłęb w rękach. Każdy wdech uświadamiał mu, że jego ciało śmierdzi wprost nie do zniesienia. Jeśli się ubiorę, to smrodem przesiąkną też szaty. Gdyby nie to wiadro... Zeżarł mi prawie wszystkie placki, myślał, patrząc na kark oddalającego się He Liweia, ale zapłacił za nie uczciwie. Wciągnął cuchnące potem i brudem, ale suche spodnie

i wytarganą koszulę, wzuł przyciasne buty. Pewnie ściągnięte z jakiegoś trupa, zgadywał, i zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze.

Nie zdążył przejść do budynków, gdy znów rozległo się skrzypienie furtki. Na dziedziniec wszedł elegancko odziany urzędnik w asyście strażników. Wolnym krokiem zbliżywszy się do budynków, stanął przed snującymi się i leżącymi na podeście więźniami w pełnej pewności siebie pozie, z rozstawionymi nogami i rękami założonymi za plecy. Igrającej na jego twarzy bucie wielce pomagał oręż trzymany na widoku przez obstawę.

– Bacność, psy! – krzyknął nagle wysokim głosem.

Więźniowie jęli się gramolić i ustawiać. Xiao zrobił niepewny krok, a potem zatrzymał się. Na dołączenie do współtowarzyszy niedoli było już chyba za późno. Urzędnik krzyknął wszakże „bacność”, a więźniom zabroniono się wtedy ruszać...

To rozumowanie legło w gruzach, gdy stojącego na uboczu więźnia dostrzegł jeden ze strażników. Błysnął oczyma i szczerząc zęby, puścił się biegiem. Bakałarz ani się obejrzał, jak mężczyzna ucapił go za kark i powłókł przez dziedziniec do budynku. Xiao machał rozpaczliwie rękoma, próbując wyzwolić się z bolesnego uścisku, powiedzieć przez zdławioną szyję, że pójdzie sam, ale strażnik był silny i zdeterminowany. Nogi wleczonego zadudniły o podest.

– Tu stój, śmierdzielu – warknął strażnik i wepchnął bakałarza w szereg. – Niech mi nikt nawet nie drgnie!

Więźniowie wyprężyli się jeszcze bardziej. Ten i ów sapnął, czując bijący od Xiao smród, ale nikt nie odsunął się odeń ani na piędź. Niebawem szereg znieruchomiał, czekając na słowa urzędnika. Xiao zagryzał zęby, powstrzymując się od dotknięcia obolałej szyi.

– Wiecie, kto przybył do nas z samej stolicy prowincji? – zawołał urzędnik, tocząc po nierównym szeregu pogardliwym wzrokiem. – Nie kto inny, jak sam dostojny główny sędzia prowincjalny Gao Bong! Jego czas jest cenny, więc nakazuję wam

i dobrze radzę: nie przeciągajcie, nie lawirujcie, tylko przyznawajcie się od razu do winy. Nam oszczędzicie pracy, a sobie bólu. Do zachodu słońca wszyscy mają być przesłuchani!

Pośród więźniów zaszumiało, rozległy się jakieś szepty i jęki, ale urzędnik uci-
szył je gestem.

– Nie jest nam tajno, że są pośród was liczni buntownicy, którzy nie wyznali do-
tąd swych win. Spójrzcie tam! – Wskazał drugi budynek, gdzie w cieniu siedzieli
w dybach skazańcy. – Oni wszyscy przyznali się do wszczęcia buntu przeciwko naj-
jaśniejszemu cesarzowi, oby żył dziesięć tysięcy lat. Teraz mają codzienny przydział
strawy i nie grożą im przesłuchania. Wy też możecie tego dostąpić! Wystarczy, że
sami przyznacie się do winy, zanim trzeba was będzie do tego zmusić. Przemyślcie
sprawę.

Odwrócił się i odszedł ku bramie, osłonięty najeżoną orężem strażą. Więźniowie
stali jeszcze czas jakiś na baczność, ale kiedy tylko furtka za urzędnikiem się za-
mknęła, zmieszali się i rozkrzyczeli. Pośród ogólnego rejuwachu w jedno zlewały się
lamenty, klątwy i złorzeczenia. Rozważając słowa urzędnika, wszyscy myśleli na
głos.

Czy mnie też będą...? – pytał sam siebie Xiao, cofając się pod ścianę, by unik-
nąć ścisku. Żaden urzędnik dotąd z nim nie rozmawiał o zarzucanych mu czynach ,
ale musiało chodzić o kradzież, paserstwo i morderstwo. Zadrżał. Wiedział, jaka kara
za to grozi. Powiódł wzrokiem po murach. Nie przeskoczy, nie ucieknie... Co go na
tym poplamionym od krwi dziedzińcu czeka?

Rozglądał się za He Liweiem albo Ou Jia, ale nie mógł ich wypatrzeć pośród
poruszonego tłumu. Wszystkie twarze wykrzywione grymasami strachu, gniewu lub
rozpaczy były mu obce. Słuchał rzucanych gorączkowo uwag i coraz bardziej lodo-
wate zimno rozlewało mu się po wnętrznościach. Przypomniawszy sobie, jak wyśmiewał
Ou Jia snującego wizję okrutnego traktowania więźniów i czuł, że błędnie.

Jako pisarz sądowy wiedział o brutalnych przesłuchiowaniach osób podejrzanych o przestępstwa. Uczestniczył w kilku z nich, kiedy w ruch szły kije, a raz palcościsk, którego sam widok przeważnie wystarczał, by podsądny przyznał się do wszystkiego. Ale to były wyjątki. Jego niegdysiejszy zwierzchnik, sędzia Hu chełpił się surowością, ale z reguły trzymał z daleka od zwykłej sądowej roboty. Nie był jedynym sędzią, który dla świętego spokoju swego oraz cesarstwa odsyłał z kwitkiem, albo i z kopniakiem, świadków i ofiary przestępstw. Jeśli już kogoś przyjął, to ograniczał się z reguły do wymierzenia paru kijów tak skarżącym, jak skarżonym, i zamykał sprawę. Gdy zaś trafili się poważniejsi zbrodniarze, odsyłał ich na przesłuchania do głównego więzienia miejskiego, gdzie osobiście bywał rzadko, nie chcąc brać sobie na głowę nowych kłopotów. Raporty tamtejszych władz, które Xiao przepisywał i streszczał, informowały tylko o wynikach śledztwa, nie o jego przebiegu ani o zastosowanych metodach. Dla Hu najważniejsze było, żeby w raportach słanych regularnie do władz prowincjalnych wszystko wyglądało jak trzeba – oraz żeby rozwijać kontakty z wysokimi urzędnikami. Właśnie dzięki koneksjom i doskonałym wynikom zapewnił sobie awans do Ministerstwa Kar.

Przecież wiedziałem o torturach, o zameczaniu na śmierć, pomyślał Xiao. Każdy to wie. Ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć... Skoro to jest główne więzienie, to tu się nie patyczkują, a jeszcze przy wizycie samego naczelnego sędziego prowincjalnego...

Furtka zaskrzypiała. Znów zrobiło się cicho jak w grobie. Na dziedziniec zaczęli się wlewać strażnicy. Cała armia strażników. I zaczęli się uwijać. O kamienne płyty zaklekotały i zaszczękały palcościski, łamacze kostek, młoty. Wkrótce obok stanęły kadzie z wodą, w których znalazły się potężne różgi plecione z bambusa, oraz łoże dla chłostanych. Więźniowie zaczęli się kręcić, mamrocząc przez zęby wyzwiska, ale strażnikom nie trzeba było wiele. napięły się kusze, błysnęły ostrza. A potem ukazał się sam czcigodny sędzia.

Był to człek już wiekowy, o długiej, siwej brodzie zwisającej z pomarszczonej twarzy i pożółkłych, poskręcanych szponach na wszystkich palcach – poza wskazującymi. Trzymał się jednak prosto i z dystynkcją. Urzędnik, jeszcze przed chwilą srode patrzący na więźniów, łasił się doń teraz jak pies.

Strażnicy wnieśli zdobne krzesło. Dostojny gość usiadł na nim z majestatem, którego nie powstydzilby się chyba sam cesarz, a urzędnik wziął na siebie rolę herolda.

– Czcigodny Gao Bong rozpoczyna sędziowanie!

Strażnicy jakby tylko na to czekali. Od murów odbił się krzyk pierwszego wleczonego przez dziedziniec nieszczęśnika. Stłoczona ciżba drgnęła, ale nikt nie śmiał przeciwstawić się wartownikom. Więzień padł na kolana przed sędzią, błagając o łaskę. Jeden z trzech pisarzy zaczął beznamiętnie odczytywać zarzuty.

Ale Xiao nie patrzył, nie słuchał. Przed chwilą bowiem zaskrzypiała furtka, a kiedy przeniósł wzrok na kolejną wchodzącą na dziedziniec postać, serce stanęło mu w piersiach.

Dlaczego? O tym już w następnym rozdziale!

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

Fantastyka w nowej formie

Oficyna wydawnicza

RW2010

Dobre ebooki
w dobrej cenie

www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)